

Farrel uśmiechnął się półgębkiem i potoczył wzrokiem po swoich karcianych partnerach.

— W samej rzeczy mała chwilka wytchnienia chyba by nam raczej specjalnie nie zaszkodziła, co? — bąknął niepewnie, nie mając pojęcia, z jaką spotka się reakcją.

Przy biernej postawie pozostałych kolegów, Mortenberg zamamrotał coś niezrozumiale pod nosem, ale otwarcie nie zaproponował. Zresztą i tak już by było na to stanowczo za późno, ponieważ Handerson — widać po wystąpieniu Farrela uznawszy sprawę za ostatecznie przesądzoną — oderwał się z niejakim trudem od progu i pomaszerował zamaszystym acz niezbyt pewnym krokiem do stolika z telewizorem. Przez dwie sekundy majstrował przy pilocie, po czym jakby niezmiernie tą operacją wyczerpany rozejrzał się za czymś nadającym się do siedzenia. Ponieważ żadnego wolnego krzeselka już nie było, przysiadł ciężko, a właściwie opadł na zasłane łóżko gospodarza pomieszczenia, które odpowiedziało żalonym jęknięciem chyba wszystkich naraz sprężyn. Wstrząsnął z wielką wprawą puszką. Wydłużyła mu się jednak mina, gdyż nie posłyszał sympatycznego pluśnięcia.

Po kilka sekundach z szarej toni ekranu wychynęła nieregularna bryła miasta tu i ówdzie strzelająca zawadiacko w niebo smukłym drapaczem chmur pełnym migotliwego poblasku szkła i aluminium. Ujęcie najwyraźniej było robione z dość dużej odległości. Na dobitkę kamerą umieszczoną na jakimś ruchomym obiekcie, najprawdopodobniej — sądząc po przebijającym się chwilami charakterystycznym łopocie wirników — z pokładu śmigłowca. Farrel, nigdy wcześniej nie zetknąwszy się z taką perspektywą, nie był w stanie jednoznacznie stwierdzić, czy istotnie ma do czynienia

z miejscem swego obecnego stałego zamieszkania. No a ponadto niemal od razu co innego przykuło bez reszty jego uwagę!

Ponad samym miastem, na niemożliwej do określenia choćby tylko w przybliżeniu wysokości wisiała jakaś rozległa chmura o najwyraźniej dość zwartej konsystencji. W promieniach chylącego się już z wolna ku zachodowi słońca zdawała się leciusieńko jakby metalicznie lśnić. Jednak to, co w tym wszystkim było najbardziej intrygujące odkryło się przed jego oczyma dopiero wówczas, kiedy przekazano obraz z innej kamery.

Teraz miasto było oddalone na tyle, że na ekranie mieściło się całe, razem ze swoimi dość nisko pobudowanymi dzielnicami podmiejskimi i rzuconymi tu i ówdzie zielonkawymi plamami skwerów. Zaś ponad tym wszystkim, pochylony pod niewielkim kątem, jak gdyby akurat wykonywał niezbyt ostry wiraż, tkwił dysk, którego powierzchnia — tak jak się to zwykle dzieje, kiedy dany obiekt jest oglądany pod bardzo silnym mikroskopem — zdawała się nieustannie drżeć i migotać. Farrel dopiero po chwili zdał sobie sprawę z tego, iż ów dysk i chmura z poprzedniego ujęcia to jest według wszelkiego prawdopodobieństwa jedno i to samo. I chyba właśnie wtedy po raz pierwszy ukłuł go prawdziwy niepokój. Z zapartym tchem oczekiwał na jakiś komentarz do tego, co się na ekranie rozgrywało, ale jak na razie z głośnika telewizora poza odgłosami pracy wirnika żmudnie mieszającego powietrze nie dobiegał żaden inny dźwięk.

Wypełniające pokój brzemie milczenia, zda się odczuwalne nieomal fizycznie każdą z osobna cząstką ciała jako pierwszy ośmielił się naruszyć Delvart.

— Cóż to, u diabła, może takiego być? — zamamrotał, nadal wpatrując się z natężeniem w ekran.

Handerson raptem ocknął się ze smętnej zadumy nad pustą puszką; całkowicie ignorując przesiąknięte głęboką dezaprobatą spojrzenie gospodarza pokoju. Odstawił ją ze stukiem na nocny stolik i ukazawszy w nie nazbyt inteligentnym uśmiešku poplamione nikotyną zęby, zagadnął na poły tylko pytającym tonem:

— No i co, moi panowie? Czy to jednak nie jest o wiele bardziej interesujące od tej waszej idiotycznej karcianej młócki?

Gunnar Berger oderwawszy z pewnym wysiłkiem oczy od ekranu przeniósł je na Handersona.

— Od jak dawna to już trwa? — rzucił, połykając z podekscytowania końcówki. — I w jaki sposób się zaczęło?

Handerson przemieścił się na łóżku niezgrabnie, tak jakoś słoniowato, znowu wywołując żalosne, choć już nie tak głośne kwilenie chyba wszystkich jego sprężyn.

— Przepraszam cię, stary, ale doprawdy nie mam zielonego pojęcia! — wyznał beztrzesko, rozłożywszy ramiona w geście wyrażającym bezradność.

— Jak to? Przecież to ty przyszedłeś do nas z tą rewelacją! — zdumiał się Berger.

— Byłem nastawiony na oglądanie kosza. Według programu mieli dzisiaj grać Miami z moją drużyną, Golden State. Tym mądralom z telewizji musiało się tam

jednak wszystko dokumentnie popieprzyć, bo kiedy włączyłem telewizor, szło już w najlepsze właśnie to, co widzicie. — Przez chwilę milczał, a potem skonstatował z nie wiadomo pod którym adresem skierowanym wyrzutem: — Ale z rozgrywkami USFL to by się jednak na taki numer z pewnością nie poważyli.

— To powiedz chociaż, kiedy dokładnie włączyłeś ten swój telewizor? — Berger nie dawał za wygraną. Tyle że obecnie podszedł do problemu z nieco innej strony.

Handerson obrzucił go figlarnym spojrzeniem.

— W trakcie konsumpcji czwartej puszki — wyznał niczym mały letni psotnik bez krzty zażenowania, a nawet jakby ze szczyptą chępliwości.

Pomilczał przez parę sekund. W końcu jednak, ugiąwszy się pod prężeniem wprost ociekających głęboką dezaprobatą spojrzeń kolegów, zerknął na zegarek i bez specjalnego przekonania uzupełnił:

— To znaczy... jakieś czterdzieści minut temu. W każdym razie mój mecz miał się rozpocząć o szesnastej trzydzieści.

— A skąd ty w ogóle wiesz, że to rzeczywiście chodzi o Merrix? — wtrącił się w tym momencie Farrel, lustrując go badawczym spojrzeniem. — Czy może wcześniej coś na ten temat mówiono?

Handerson pacnął się z rozmachem dłonią po swym udzie.

— Dziesięć punktów za domyślność! — oznajmił gromko z ironicznym uznaniem. — Z przyjemnością widzę, że te wasze karciane igraszki jeszcze nie do końca stępiły waszą spostrzegawczość. Mówiono. I to wcale niemało!

— Niestety! W odróżnieniu od wpływu piwa na ciebie! — zasyczał zjadliwie Mortenberg, który nie zdołał się powstrzymać od pofolgowania sobie.

— Słucham? — Handerson przechylił się ku niemu, w błazeńskim geście przykładając dłoń do ucha.

— A co konkretnie mówiono? — Farrel lekko podniósł głos, nie na żarty zaniepokojony możliwością zejścia rozmowy na zupełnie inne i w ogóle nie interesujące go tory.

— Jak dotąd obracano się wyłącznie w sferze mniej lub bardziej idiotycznych hipotez. Jeżeli interesuje cię moje skromne na ten temat zdanie... — na chwilę zawiesił głos, popatrując znacząco na Farrela, a następnie zakończył na wydechu: — to powiem krótko. Oni sami nie mają bladego pojęcia, o co tam może chodzić! A co do tego, czy to jest Merrix, to parokrotnie bardzo wyraźnie wymieniano tę nazwę. Przecież inaczej bym ciebie specjalnie nie szukał, no nie?

Na parę sekund znów zapadła cisza. Wszyscy jak zahipnotyzowani wpatrywali się w ekran telewizora wciąż ukazujący jeden i ten sam raczej nieruchawy obrazek.

— Nie wiem jak wam, ale jeżeli o mnie idzie... — odezwał się w pewnym momencie niezbyt pewnie Delvart — to mi to najbardziej przypomina... spodek!

Berger obrzucił go nierozumiejącym spojrzeniem.

— Co takiego? — wysoko unosząc brwi obrzucił go podejrzliwym wzrokiem.

Delvart jakby się troszeczkę zmieszał. Wygiął wargi w nieszczerym uśmiešku.

— No, latający... — rzucił niepewnie po chwili zastanowienia z wyraźnym widocznym żalem, że w ogóle wyrwał się nieopatrznie z tego rodzaju wyznaniem. — Taki, jakie niejednokrotnie opisywali. Na przykład taki Hynek, Vallee, Menzel czy Ruppelt. Te nazwiska nie są wam chyba obce? Niekiedy publikowano nawet ich rzekome fotografie. Tyle że ten, jeżeli kamera oddaje przynajmniej w przybliżeniu właściwe proporcje, musiałby być zaiste ogromny!

Pomimo że konkluzja, do jakiej doszedł Delvart, była doprawdy szokująca, nie doczekała się żadnego ironicznego komentarza ze strony kolegów, albowiem w tym właśnie momencie obraz na ekranie zaczął ulegać dynamicznej metamorfozie. Budowle poczęły się błyskawicznie przybliżać, kolejno umykać gdzieś poza jego krawędzie. Jednak dopiero po chwili zorientowali się, że teraz mają przed sobą już zupełnie inny aniżeli poprzednio fragment miasta. Farrelowi przemknęło przez myśl, że cała ta historia, czymkolwiek by ona faktycznie nie była, musi już trwać dosyć długo, skoro telewizyjna machina zdążyła się już uporać z zainstalowaniem kamer w tak wielu punktach swojej infrastruktury nieodzownej dla maksymalnego uatrakcyjnienia przekazu zjawiska z wszelkich możliwych perspektyw w imię wywindowania oglądalności do jak najwyższego poziomu, bezpośrednio przekładającego się przecież na wysokość rocznych zysków. Kiedy się już wydawało, że kamera lada chwila wpełźnie nieuchronnie na bynajmniej nie świecące pustką ulice miasta, aby dać widzom możliwość poznania, co o tym bezsprzecznie odbiegającym od szarej codzienności zjawisku mają do powiedzenia — także teoretycznie najbardziej nim zainteresowani — sami mieszkańcy dotkniętego zjawiskiem grodu, zgodnie z komercyjnymi obyczajami tej instytucji raptem, ni z tego, ni z owego rozpoczęła się emisja bloku reklamowego, natarczywie usiłująca namówić za pośrednictwem niezmiernie zda się bliskich ekstazy twarzy paru mieszanej płci osobników do konsumpcji ponoć absolutnie rewelacyjnych w tym sezonie lodów Stovera o dziesięciu smakach. Jeden rozkoszniejszy od drugiego. Potem

zachwalająca cudowne przymioty jednego z licznych dostępnych na rynku dezodorantów zdolnego do przemienienia co najmniej na pełną dobę nawet najbardziej zatwardziałego przeciwnika wody i mydła w bukiet dopiero co ściętych i przecudownie woniejących kwiatów. Następnie reklamowano pastylki wielce skądinąd szacownego profesora Drake'a, które natychmiast, w sposób łatwy i naturalny, nader przyjemny leczą z kataru, kaszlu i wszelkich innych przypadłości związanych

z przeziębieniem. Pojawiło się także parę reklam innych równie rewelacyjnych, ze wszech miar godnych pożądania artykułów.

Na Farrela ta nachalna, chwilami po prostu głupawa reklama podziałała zupełnie inaczej, aniżeli leżało to bez wątpienia w intencjach jej autorów. Mówiąc ściślej,

z każdą sekundą jej trwania potęgowała się w nim zimna wściekłość na odpowiedzialnego za nią redaktora, który najwyraźniej nie był w stanie pojąć, iż w takich jak obecnie okolicznościach wciskanie na choma tych wszystkich oglądanych już przecież po tysiącokroć bzdetów w żadnym przypadku nie może pobudzać chęci wejścia

w ich posiadanie. A nawet wręcz przeciwnie — wywołuje coś w rodzaju odrazy!

Wreszcie blok reklamowy przy akompaniamencie wyjątkowo hałaśliwej muzyczki dobiegł końca. Jednak wbrew jego oczekiwaniom miejsce panoramy miasta zajęło teraz rzęsiście oświetlone studio. Dominującym jego elementem był rozległy mahoniowy pulpit, wygięty w łagodnym łuku wprost ku kamerom. Na jego połyskliwym blacie stały trzy telefoniczne aparaty, każdy w innym kolorze, mające pewnie za zadanie uosabiać zdolność połączenia się w każdym momencie z dowolnym punktem ziemskiego globu. Za pulpitem zaś w dość niedbalej pozie mogącej świadczyć o ogromnej pewności siebie siedział Jack Heager, gwiazda już od wielu sezonów świecąca na firmamencie dziennikarskiego reportażu blaskiem pierwszej wielkości i jak przystało na takowe zjawisko, z pewnością wynagradzana nie gorzej, aniżeli miało to niegdyś miejsce na przykład z Danem Ratherem, Peterem Jenningsem albo Tomem Brokawem. Heager nie był sam. Towarzyszył mu jakby czymś bardzo solidnie od wewnątrz usztywniony mężczyzna w górnym przedziale wieku średniego. Miał na sobie ciemnobrązową marynarkę o niemodnych już od co najmniej paru lat, przesadnie szerokich klapach, jasnokremową koszulę i niezbyt starannie zawiązany ciemnobrązowy krawat w białe cętki. Jack Heager

zorientowawszy się, iż już się znajduje na wizji, z uśmiechem sprawiającym wrażenie przyklejonego na trwałe do warg pochylił się tak głęboko do przodu, jak gdyby właśnie podjął niezłomne postanowienie przebicia od wewnątrz szkliva kineskopu, by się znaleźć pośród swoich wielbicieli uzbrajających go w moc przetargową w walce o sówite honoraria. Odczekał dokładnie tyle, ile należało, ażeby ześrodkować na sobie całą uwagę audytorium, liczącego sobie zapewne w tym momencie wiele dziesiątków milionów osób różnej płci, a następnie rozpoczął tym swoim aksamitnym i odrobinę patetycznym, a zarazem jakby nieco poufałym tonem, który niewątpliwie miał także swój niebagatelny udział w uzyskaniu tak ogromnej w jego przypadku popularności:

— *A więc, drodzy państwo, daliśmy wam możliwość wyrobienia sobie własnego poglądu, jak się tam to wszystko w rzeczywistości prezentuje. I proszę się nie niepokoić. Nadal pewnie trzymamy rękę na pulsie wydarzeń! Nasza najlepsza spośród możliwych do skompletowania ekipa bezustannie pracuje nad tym, aby zagwarantować państwu jak najpełniejszy i najbardziej aktualny pakiet informacji. Możecie państwo być przekonani, że skoro tylko z punktu widzenia konieczności zapewnienia tego bezwzględnie nadrzędnego dla nas postulatu stanie się to niezbędne, natychmiast zniknę z ekranu. Ponieważ jednak w chwili obecnej nie dzieje się tam nic szczególnie interesującego, proponuję, abyście państwo zechcieli tymczasem wysłuchać, co na temat tego frapującego zjawiska ma do powiedzenia nauka w osobie naszego znamienitego gościa, profesora Frederica Fynstona z Rutgers University. Panie profesorze — Heager płynnie skorygował przechył swego ciała, ukierunkowując je nieco bardziej w stronę swojego rozmówcy — czy zechciałby się pan podzielić z nami swoimi przemyśleniami na temat tego, czego od paru już godzin my i nasi szanowni widzowie jesteśmy świadkami?*

W tym momencie czujny operator kamery najechał na profesora Fynstona i ekran niemal bez reszty wypełnił się jego pulchną, najwidoczniej z uwagi na wizytę w studio po raz drugi tego dnia bardzo starannie wygoloną twarzą. Z lekka oślepiiony mocnym światłem, jakim go bezceremonialnie potraktowano, szybko zamrugał oczami. A potem się okazało, że to, co ma do zaprezentowania światu za wcale nieliczne pewnie honorarium, właściwie przy najlepszych nawet chęciach niezwykle trudno byłoby zaliczyć do rewelacji. Według niego i jakiejś niezbyt precyzyjnie określonej grupy jego najbliższych współpracowników mogła to być po prostu

ogromna chmura, w której na skutek szczególnej cyrkulacji powietrza oprócz zwykłych składników, to znaczy kryształków lodu i kropelek wody powstałych w wyniku kondensacji zawartej w powietrzu pary wodnej, musiały się także nagromadzić wyjątkowo duże ilości rozmaitych zanieczyszczeń, takich jak na przykład drobinki żelaza, siarki, węgla, ołowiu i tym podobnych części składowych tablicy Mendelejewa — pomimo stosowania już od wielu lat drakońskiej penalizacji — nadal beztrósco wprowadzanych do atmosfery przez dosyć liczne w tamtym rejonie ośrodki różnorodnych gałęzi przemysłu. Jednocześnie niezliczona ilość funkcjonujących w lokalnych konurbacjach najrozmaitszych elektroenergetycznych emiterów pospołu z tysiącami mil linii przesyłowych mogły w określonych warunkach wygenerować potężne pole, które uchwyciło w cęgi obficie nafaszerowaną metalicznymi mikrocząsteczkami chmurę, nadając jej przypadkowo właśnie taki dość osobliwy kształt.

Berger potoczył zdumionym wzrokiem po swoich kolegach, próbując odgadnąć z wyrazów ich twarzy, co oni o całej tej hipotezie sądzą.

— A cóż to za duby smalone on nam tutaj plecie? — sapnął wreszcie z niesmakiem. — Przecież tego rodzaju czynniki występują zarówno tam, jak i w wielu innych rejonach już od niepamiętnych czasów, a mimo to nic podobnego jeszcze nigdy jakoś się nie objawiło! Przynajmniej ja o czymś podobnym nigdy nie słyszałem.

Wywiązała się króciutka, ale nadzwyczaj ożywiona dyskusja. Wyszło na jaw, że niemal wszyscy są podobnego, jak i on zdania. To „niemal” brało się przy tym jedynie stąd, że Handerson i Farrel po prostu w ogóle nie wzięli w niej udziału. Ten pierwszy dlatego, że właśnie popadł w płyciutką drzemkę, urozmaicaną posapywaniem w najrozmaitszych tonacjach. Powściągliwość Farrela w manifestowaniu swych poglądów miała natomiast zupełnie inne podłoże. Teza postawiona z całą powagą przez profesora Fynstona wydała mu się mianowicie tak idiotyczna, że zrodziły się w nim bardzo poważne wątpliwości czy w ogóle — jak to zamierzał uczynić jeszcze przed chwilą — warto tym wszystkim zawracać głowę Dorris.

[fragment opowiadania „Twarda inwazja” Janusza Szablickiego]